Wszystkie błędy Kremla



Jak czytelnicy wiedzą, od wielu lat obawiam się, że tolerowanie przez Rosję niekończących się obelg i prowokacji będzie nadal zachęcać do kolejnych i jeszcze większych prowokacji, dopóki nie zostaną przekroczone czerwone linie, które spowodują bezpośredni konflikt między dwoma głównymi mocarstwami nuklearnymi.

Przez te wszystkie lata Kreml, nie mogąc zrozumieć ani zaakceptować, że jego rola jako wroga Waszyngtonu nr 1 została wyryta w kamieniu, polegał na strategii nie reagowania lub na minimalnej reakcji, ta aby podważyć lansowany na Zachodzie wizerunek niebezpiecznej i agresywnej Rosji nastawionej na odbudowę imperium sowieckiego. Ta strategia dyplomatyczna, podobnie jak rosyjska strategia ukraińska, całkowicie zawiodła.

Katastrofalna strategia Kremla wobec Ukrainy rozpoczęła się, gdy Kreml przewiązywał większą uwagę do Olimpiady w Soczi niż do obalenia przez Waszyngton władz Ukrainy. Błędy Kremla stały się jeszcze większe, gdy Moskwa odrzuciła prośbę Donbasu o ponowne zjednoczenie z Rosją, podobnie jak Krym. To sprawiło, że Rosjanie z Donbasu, dawniej część Rosji, cierpieli prześladowania ze strony ukraińskich nazistowskich milicji, ostrzał obszarów cywilnych i częściową okupację przez siły ukraińskie od 2014 r. do lutego 2022 r., kiedy armia rosyjska zaczęła oczyszczać Donbas z sił ukraińskich, aby zapobiec przygotowanej ukraińskiej inwazji na republiki Donbasu. **Czekając 8 lat na działanie, Kreml stanął teraz w obliczu dużej, wyszkolonej i wyposażonej na Zachód armii oraz**

fanatycznych pułków nazistowskich.

Można by pomyśleć, że do tego czasu Kreml wyciągnie wnioski ze swoich nadzwyczajnych błędów i zda sobie sprawę, że w końcu musi pokazać, że został sprowokowany. Bez wątpienia prowokowano do rosyjskiego ataku, który miał izolować Ukrainę, zmienić jej rząd, całą infrastrukturę cywilną i natychmiast zakończyć konflikt. Zamiast tego Kreml spotęgował swoje błędy. Zapowiedział ograniczoną interwencję, której celem było wyparcie sił ukraińskich z Donbasu. Pozostawił rząd i infrastrukturę cywilną wroga nietkniętą, umożliwiając w ten sposób wrogowi odparcie interwencji na bardzo korzystnych warunkach.

Żeby było jasne, nie ma wątpliwości, że Rosjanie mogą oczyścić Donbas z ukraińskich sił i prawie wykonali zadanie. **Błędem Kremla było niezrozumienie, że Zachód nie pogodzi się z ograniczoną interwencją.**

Kreml ostrzegł Zachód przed ingerencją, oświadczając, że jeśli USA i NATO się zaangażują, Rosja uzna te kraje za „strony walczące". Ale Zachód zaangażował się, powoli i ostrożnie, początkowo miękko, a potem coraz bardziej agresywnie, ponieważ to, czego Zachód pierwotnie oczekiwał, czyli że będzie to najwyżej tygodniowy konflikt, trwa już siódmy miesiąc, a Kreml ponownie mówi o negocjacjach z Zełenskim i o zawieszeniu rosyjskiego natarcia. Daleki od traktowania państw NATO jako strony walczącej, Kreml nadal dostarcza Europie energię w takim stopniu, w jakim Europa na to pozwala Rosji. **Wysocy rosyjscy urzędnicy mówili tak, jakby udowodnienie, że Rosja jest wiarygodnym dostawcą energii, było ważniejsze niż życie jej żołnierzy walczących z zachodnimi wyszkolonymi i wyposażonymi siłami ukraińskimi zaopatrywanymi przez kraje europejskie, których przemysł zbrojeniowy opiera się na rosyjskiej energetyce.**

Słusznie przewidziałem, że rosyjskie półśrodki doprowadzą do rozszerzenia wojny. Poprawność mojej analizy została

potwierdzona przez raport w *The Hill, waszyngtońskiej* publikacji czytanej przez wtajemniczonych. Raport nosi tytuł: „Dlaczego USA stają się coraz bardziej bezczelne we wspieraniu Ukrainy" i można go przeczytać
tutaj: https://thehill.com/policy/international/3627782-why-the-us-is-becoming-more-brazen-with-its-ukraine-support/

Oto zdanie otwierające raport i kilka fragmentów:

„Administracja Bidena uzbraja Ukrainę w broń, która może wyrządzić poważne szkody siłom rosyjskim i, w przeciwieństwie do początku wojny, urzędnicy amerykańscy nie wydają się zaniepokojeni reakcją Moskwy".

„Z biegiem czasu administracja uznała, że może dostarczyć Ukraińcom większą, bardziej zdolną, cięższą broń, a Rosjanie nie zareagowali" – powiedział były ambasador USA na Ukrainie William Taylor.

„Rosjanie trochę blefowali i bluzgali, ale nie zostali sprowokowani. I były obawy [z tym związane] w administracji na wczesnym etapie – nadal są do pewnego stopnia – ale strach przed sprowokowaniem Rosjan osłabł" – dodał Taylor, który jest teraz w amerykańskim Instytucie Pokoju.

„Na początku byliśmy nieco bardziej ostrożni … nie wiedząc, czy Putin znajdzie i zaatakuje linie zaopatrzeniowe i konwoje, nie będąc pewnym, czy dojdzie do eskalacji, a także nie będąc pewnym, czy Ukraina może wykorzystać to, co im daliśmy, czy też wytrzymać długo przeciwko Rosji" – powiedział **Michael O'Hanlon**, analityk wojskowy w waszyngtońskim think tanku Brookings Institution.

Patrząc w przyszłość, wiele raportów wskazuje, że USA planują wkrótce wysłać precyzyjnie kierowaną amunicję artyleryjską Excalibur – broń, która może razić do 70 kilometrów i pomogłaby Ukraińcom atakować rosyjskie pozycje i stanowiska dowodzenia.

„Część zmiany w przekazie można przypisać temu, że Kijów nie upadł mimo międzynarodowych oczekiwań, gdy Rosja po raz pierwszy zaatakowała, ocenia Nathan Sales, były urzędnik Departamentu Stanu, który ostatnio pełnił funkcję podsekretarza ds. Bezpieczeństwa cywilnego, demokracji i praw człowieka”.

Jak powiedziałem, ograniczona operacja Kremla była postrzegana na Zachodzie jako półśrodek, który dał Zachodowi możliwość rozszerzenia wojny. Teraz, gdy zbliża się zima, konflikt rozszerza się o dostawy potężnej broni dalekiego zasięgu zdolnej do ataku na Donbas, Krym i inne części Rosji z zachodniej Ukrainy, która została oszczędzona podczas rosyjskiej inwazji.

Jak już powiedziałem, przedłużając wojnę poprzez stosowanie taktyki powolnego działania w celu zminimalizowania ofiar cywilnych, Rosja dała Zachodowi możliwość zdiagnozowania rosyjskiej interwencji jako słabnącej ze względu na wyczerpanie się amunicji i wysokich strat własnych. Obraz rosyjskiej porażki przyniósł oczekiwany przeze mnie efekt, który sprawił, że Zachód stał się bardziej pewny swojej taktyki wojennej. Oto fragmenty raportu The Hill potwierdzające, że:

Kolejna część równania: najnowsze dane wywiadowcze wskazują, że Rosja odczuwa skutki nałożonych przez Zachód sankcji, a siły wojskowe kurczą się w siłę wraz z upływem wojny.

W zeszłym miesiącu Reuters poinformował, że główne rosyjskie linie lotnicze, takie jak Aerofłot, uziemiły swoje samoloty, aby można je było rozebrać na części zamienne, pobierając komponenty z niektórych swoich samolotów, aby inne były zdatne do lotu.

W obliczu strat na polu bitwy Putin w zeszłym miesiącu starał się zwiększyć rosyjski personel bojowy o ponad 130 000 żołnierzy, eliminując górną granicę wieku dla nowych rekrutów

i zachęcając więźniów do wstępowania do armii.

„Uważamy, że nastroje ludzi w departamentach i agencjach, szczególnie w strukturach wojskowych oraz społeczności wywiadowczej, stają się coraz bardziej agresywne" – powiedział jeden z byłych wysokich rangą urzędników państwowych.

„Myślę, że mamy o wiele więcej miejsca po naszej stronie, aby podjąć działania, które pomogą Ukrainie, nie obawiając się bezpodstawnie, jak Putin zareaguje" – dodali.

Można argumentować, że Kreml popełnił wszystkie te błędy, ponieważ nie chciał przestraszyć większej części Europy w NATO, demonstrując swoją potęgę militarną w błyskawicznym podboju Ukrainy. Ale te półśrodki zastosowane przez Rosję dały Finlandii i Szwecji pewność przystąpienia do NATO, ponieważ nie widzą one zagrożenia dla siebie ze strony członkostwa w NATO. Druzgocący rosyjski cios w Ukrainę spowodowałby, że cała Europa ponownie zastanowiłaby się nad członkostwem w NATO nowych państw, ponieważ żaden kraj europejski nie chciałby stanąć przed perspektywą wojny z Rosją. Zamiast tego Kreml wyprodukował brytyjskiego premiera, który jest gotów sprowokować Rosję do wojny nuklearnej, i NATO, które zamierza utrzymać konflikt ukraiński.

Nieostrożny lub wrogi czytelnik może wywnioskować z mojego artykułu, że jestem zwolennikiem rosyjskiego sukcesu militarnego. Wręcz przeciwnie, jestem zwolennikiem minimalizacji ryzyka wojny nuklearnej. Steven Cohen i ja jesteśmy tymi dwoma, którzy od samego początku widzieli, jak ingerencja Waszyngtonu na Ukrainie wraz z obaleniem rządu Janukowycza wytyczyła kurs, który może zakończyć się nuklearnym Armagedonem. Cohen był piętnowany przez własną liberalną lewicę, a ja zostałem uznany za „agenta Putina".

Wyzwiska, których doświadczyliśmy, dowiodły naszej racji. Świat zachodni jest ślepy na potencjalne konsekwencje swoich prowokacji wobec Rosji, a Kreml jest ślepy na potencjalne

konsekwencje tolerowania prowokacji. Jak widzimy, żadna ze stron nie doszła jeszcze do tego wniosku. Raport Hilla pokazuje poprawność mojej analizy sytuacji i moich przewidywań, że wynikiem będzie rozszerzenie wojny i większe prawdopodobieństwo błędnych obliczeń, które mogłyby doprowadzić do wojny nuklearnej.

Źródło

Komu potrzebna jest ta wojna?



Wdniu 17 września 2022 roku gośćmi Klubu Myśli Polskiej w Łodzi oraz Klubu im. Romana Dmowskiego byli publicyści tygodnika „Myśl Polska” – dr Mateusz Piskorski oraz red. Adam Śmiech.

Spotkanie poświęcone było wydanej niedawno nakładem Domu Wydawniczego Myśl Polska książki „Ukraina w ogniu. Komu potrzebna jest ta wojna”, będącej zbiorem tekstów i tłumaczeń poświęconych konfliktowi rosyjsko-ukraińskiemu, zamieszczonych wcześniej na łamach oraz na stronie internetowej „MP”.

Dr Mateusz Piskorski podkreślił, że celem książki było przedstawienie konfliktu rosyjsko-ukraińskiego w sposób możliwie obiektywny, pozbawiony niepotrzebnych emocji, uwarunkowanych określonymi sympatiami i antypatiami politycznymi. Spojrzenie takie jaskrawo kontrastuje z oficjalną przyjętą narracją, zgodnie z którą do toczącej się

obecnie wojny doprowadziła wyłącznie jedna strona, a sam konflikt rozpoczął się dopiero w lutym 2022 roku. **Mateusz Piskorski** zwrócił uwagę na kwestię cenzury, która uniemożliwia swobodną i nieskrępowaną debatę publiczną na temat wojny na Ukrainie oraz polityki Polski związanej z powyższym konfliktem.

Prelegent przytoczył w tym kontekście znamienne słowa prof. Stanisława Bielenia, że „pierwszą ofiara wojny jest zawsze prawda". Zdaniem dr. Piskorskiego nie ma podstaw by w kontekście propagandy wojennej wierzyć wyłącznie jednej stronie, co ma miejsce w przekazie oficjalnym. Piskorski zaznaczył przy tym, że w przypadku omawianego konfliktu trudno mówić jedynie o konflikcie rosyjsko-ukraińskim, gdyż ma on charakter swoistej „wojny zastępczej" pomiędzy „anglosaskim Zachodem" a Rosją. Niezależnie od tego, biorąc pod uwagę skalę zniszczeń i wszelkiego rodzaju strat – największą ofiarą wojny jest sama Ukraina.

W swoim wystąpieniu red. **Adam Śmiech** przypomniał, że już w styczniu br. prognozował wybuch konfliktu, biorąc pod uwagę fiasko rozmów pomiędzy Rosją a stroną amerykańską w grudniu 2021 roku. W swoim artykule zamieszczonym na łamach „Myśli Polskiej" – „Komiwojażer uderza ponownie" zauważył wówczas podobieństwa pomiędzy sytuacją bieżącą, a sytuacją na początku lat trzydziestych XX wieku. Wówczas **Roman Dmowski** zamieścił cykl artykułów na łamach „Gazety Warszawskiej" pt. „Komiwojażer w kłopocie", w których poddał krytyce zamysły państw zachodnich wywołania wojny przeciw ZSRR, z wykorzystaniem w tym celu Polski. Mianem „komiwojażera" Dmowski określił wówczas siły międzynarodowe, które dążyły do wojny z ZSRR, którą zamierzały prowadzić polskimi rękami. Analogie z sytuacją obecną są oczywiste.

Zdaniem red. Adama Śmiecha tak dalekie zaangażowanie się strony polskiej w toczący się konflikt na Ukrainie w zakresie zbieżnym z interesami anglosaskimi nie może być tłumaczone członkostwem Polski w NATO. Prelegent podkreślił, że członkiem

NATO są również Węgry, które zajęły w powyższym zakresie zupełnie inne stanowisko. Red. Adam Śmiech odniósł się również do stanowiska **prof. Johna Mearsheimera** szeroko komentowanego na łamach „Myśli Polskiej", zgodnie z którym za obecną wojnę na Ukrainie odpowiedzialny jest w głównej mierze Zachód. Przyczyną tego było dążenie USA do światowej hegemonii oraz stworzenia świata jednobiegunowego. Początkiem drogi ku konfrontacji był szczyt NATO w Bukareszcie w 2008 roku i ogłoszenie tak zwanej „mapy drogowej" dla Ukrainy i Gruzji, które de facto zaproszono wówczas do NATO.

Późniejszymi konsekwencjami tej polityki było wspieranie przez USA wydarzeń na Ukrainie w 2013 roku oraz późniejsze obalenie prezydenta **Wiktora Janukowycza.** Red. Adam Śmiech przytoczył słowa wypowiedziane przez Johna Mearsheimera: „w istocie Waszyngton grał główną rolę w doprowadzeniu Ukrainy na drogę do destrukcji. Historia osądzi Stany Zjednoczone i ich sojuszników z wielką surowością za ich niebywale głupią politykę w stosunku do Ukrainy". W dalszej części wypowiedzi red. Śmiech, odnosząc się do wypowiedzi Johna Mearsheimera podzielił jego obawę, że dalsza eskalacja konfliktu rosyjsko-ukraińskiego, a de facto wojny świata anglosaskiego z Rosją, może doprowadzić do wojny światowej z użyciem arsenału nuklearnego, bowiem żadna ze stron nie może pozwolić sobie na porażkę.

Spotkanie spotkało się z żywą reakcją jego uczestników, czego potwierdzeniem były liczne pytania, uwagi i komentarze. Dużym zainteresowaniem cieszyła się również sama publikacja „Ukraina w ogniu. Komu potrzebna jest ta wojna", którą zebrani mogli na miejscu nabyć. Można jedynie wyrazić nadzieję, że podobne spotkania odbędą się również w innych ośrodkach.

Michał Radzikowski

Teoria dwóch wrogów. Czy to dobrze, że Rosjanie i Ukraińcy wykrwawiają się wzajemnie?



Popularny pogląd (noszący nawet pewne pozory racjonalności) głosi, że Polacy winni kibicować jak najdłuższej wojnie ukraińsko-rosyjskiej, nawet nie sympatyzując z obecnymi władzami w Kijowie. Dalsze walki, zniszczenia i straty po obu stronach osłabiają bowiem obu naszych potencjalnych rywali / przeciwników*, *ergo* niech obie strony się wykrwawiają. Cóż, faktycznie przypomina to racjonalną kalkulację jednak niestety w tym tylko sensie, w jakim podczas II wojny światowej powszechnie oczekiwano na wzajemne unicestwienie Niemiec i ZSSR, pozwalające następnie na rozkwit polskiego Imperium. Marzenie to zwalniało w efekcie od przygotowywania jakichkolwiek planów przystających do realnego przebiegu tamtej wojny, co w wymierny sposób pogorszyło sytuację Polaków, gdy miast własnego mocarstwa otrzymali cudze rządy nad swym krajem, przynajmniej w początkowym okresie po zwycięstwie sowieckim. Również i dziś uspokajanie się wypadnięciem z gry i Ukrainy, i Rosji jednocześnie, przy wypełnieniu domniemanej luki politycznej przez jakiekolwiek polskie aspiracje i autorskie programy – jest czymś gorszym nawet niż mrzonka i chciejstwo. To prosta droga do

zaszkodzenia realnie strategicznym interesom polskim.

Jak wykorzystujemy czas wojny?

U podstaw wiary w przydatność ukraińskiego oporu jako redukcji zagrożenia rosyjskiego dla Polski, leży zasadnicze niezrozumienie jego istoty. Federacja Rosyjska może być dla III RP groźna nie ze względu na ilość posiadanych czołgów i dronów, nie w związku z poziomem dochodów z handlu surowcami energetycznymi i zupełnie bez oglądania się ile walka z Ukrainą łącznie ją kosztowała. Dla lepszej ilustracji, wyobraźmy sobie sytuację powojenną. Odrzućmy nawet dość oczywisty scenariusz zwycięstwa Rosji (czy, jeśli kogoś to razi, nie-zwycięstwa Ukrainy), ale przyjmijmy założenie wprost z wizji obustronnego wykrwawienia. Oba kraje opadają z sił, tracą ochotę do dalszej walki, straty i koszty przekraczają wyobrażalne zyski, w Polsce ulga i oklaski, oczywiście malkontenci chcieliby więcej, ale co rozumiejący zasadę dwóch wrogów mogą sobie gratulować. Tak? Otóż nie.

Bo w istocie co by to zmieniło? Jeśli istotą zagrożenia rosyjskiego jest siła militarna Moskwy – to ile zajmie jej uzupełnienie stanów, odtworzenie sprzętu, przeszkolenie itd., wszystko co potrzebne, byśmy się znaleźli **dokładnie w tej** samej sytuacji, co obecnie? „Ale czynnik czasu, zyskamy czas!" – zaraz pewnie padnie. Świetnie. A na co, przepraszam, ten czas? Jak go wykorzystamy? Tzn. dokładniej, jak już go wykorzystujemy? **Jaki to ukryty potencjał drzemie w polskiej gospodarce, sile politycznej i militarnej, który wywinduje nas na pozycje zwalniane w tym rejonie świata i przez Rosję, i przez Ukrainę?** Bo na razie wydaje się, że jesteśmy w trakcie najpoważniejszego od przeszło dwóch dekad kryzysu finansów publicznych, wyrażanego m.in. rekordową inflacją, a także u progu załamania własnego systemu energetycznego. Prędzej czy później Rosja może zabliźnić każdą ranę zadaną jej w tej wojnie. A w jakiej kondycji my wtedy będziemy?

Czym byśmy się bronili?

Czy jednak walki na Ukrainie, straty ponoszone przez Rosjan, fakt, że po przeszło 6 miesiącach siły kijowskie zachowały jeszcze zdolności obronne, a nawet przynajmniej pozorują podejmowanie inicjatywy, nie dowodzą, że moglibyśmy stawiać równie zacięty opór, a już osłabionym wojskom federacji zadać dotkliwe, może nawet decydujące ciosy? By odpowiedzieć na to pytanie, a ściślej zrozumieć jego surrealizm, zastanówmy się najpierw: przez ostatnie osiem lat Siły Zbrojne Ukrainy były przez Amerykanów i Brytyjczyków szykowane do wojny z Rosją. Szkolone. Wyposażane. Dzieje się to nawet teraz. Czy cokolwiek takiego przydarzyło się Siłom Zbrojnym RP? **Gdzie są dostawy darmowego sprzętu, a przynajmniej korzystne masowe kontrakty zbrojeniowe, symbolicznie najwyżej oprocentowane kredyty, dostęp do szkoleń, logistyki, danych wywiadowczych?** Że co, że teraz, kontrakt koreański? Przecież to nie dla nas, to dla Kijowa, a w dodatku za późno i za nasze inflacyjne pieniądze. Gdzie tu pomoc? Gdzie tu strategiczne inwestycje? Dokładnie tak samo było zresztą przed wojną, gdy Londyn tam, gdzie naprawdę potrzebował walk i oporu ładował miliony funtów, broń, sprzęt i doradców, a „strategicznej” Polsce przed 1 września 1939 roku nie raczył przysłać nawet pierwszej transzy niechętnie i z łaski udzielonej pożyczki zbrojeniowej.

Polska nie jest Ukrainą, nie ma widać takiej wartości dla Zachodu, skoro bierze od nas, tak jak z Kijowa, ale nie wysyła w zamian czołgów i miliardów. Przeciwnie, to my wykosztowujemy się na podtrzymywanie ukraińskiego oporu, a więc wobec domniemanego zagrożenia rosyjskiego stanęlibyśmy jeszcze słabsi, bez broni, energii i pieniędzy, słanych bez opamiętania kijowianom. **Nie bronilibyśmy się więc pół roku, bo nie mamy ani czym, ani kim.** I to niezależnie od tego czy bić by nas przyszła armia rosyjska bardzo osłabiona przez kijowian, tylko trochę czy już po prostu odbudowana. I między bajki można włożyć, jak to polski naród wojowników, jak zawsze w historii rzuciłby się na wrogów zatrzymując ich… no właśnie,

czym? Klawiaturą notebooków? Tak, jasne. Pewnie Rosjanie nie przyjdą, bo NATO by nas obroniło. Ale czy naprawdę chcemy to sprawdzać? Bo to jednak jest to samo NATO, które miało odstraszyć **Władimira Putina** od Ukrainy…

Wariant realny, choć mało prawdopodobny albo cud

Teoria dwóch wrogów i pożytków z ich wzajemnego osłabiania brzmi tak zwodniczo prawie racjonalnie, że aż może uśpić, utrudniając zadanie tych wszystkich pytań i wysunięcie wątpliwości. Ma jednak ten niekwestionowany plus, że zwalnia od infantylnego okazywania jednostronnej miłości do Kijowa. Nadal jednak **nie jest polityką realną dla Polski**. Prawda jest bowiem taka, że zagrożenie wojenne wobec naszego kraju osłabłoby, a nawet zniknęło bodaj tylko w dwóch możliwych dziś do założenia sytuacjach. Po pierwsze, gdy to **Zachód zmieni hierarchię celów i listę metod w geopolityce, tzn. zrezygnuje z autodestrukcyjnej strategii jednoczesnej konfrontacji i z Rosją, i z Chinami**, albo wprost odnajdzie się w świecie, w którym USA będą numerem dwa, a wielobiegunowość stanie się rzeczywistością nie do odrzucenia. Wówczas, siłą rzeczy, taką politykę będzie też musiała przyjąć III RP, pozostając wprawdzie w pułapce peryferyjności, ale przynajmniej istniejąc.

Scenariusz taki, przyznajmy, nie jest dziś bardziej prawdopodobny od dalszej eskalacji konfliktu i jego rozlania się na inne obszary, niemniej nie może też być całkowicie odrzucony w świecie, w którym bądź co bądź decyduje rachunek ekonomiczny. W dodatku zaś dla Polski wariant taki ma niekwestionowaną wyższość nad innym, dopuszczalnym tylko teoretycznie. Że sami zmądrzejemy i znajdziemy dość siły, by stopniowo zwiększając własny potencjał i początkowo wykorzystując zachowywane powiązania samemu odnaleźć się w nowych konfiguracjach geopolitycznych i geoekonomicznych.

Ponieważ jednak to niemal na pewno się nie wydarzy – więc chociaż nie usypiajmy się snem o fałszywym bezpieczeństwie dzięki zderzaniu się dwóch obcych fal.

Bo tak najłatwiej samemu utonąć.

Konrad Rękas

Neonazizm na Ukrainie nie musi być antysemicki



Nazistowskie inspiracje ideologiczne w armii ukraińskiej walczącej z armią rosyjską i ludnością nowopowstałych republik na wschodzie Ukrainy w mediach głównego nurtu są zdecydowanie pomijane. Jakiekolwiek doniesienia o niepokojących trendach pojawiających się wśród Ukraińców atakowane są oskarżeniami o swój rosyjski rodowód, tj. uznawane są za element walki informacyjnej Federacji Rosyjskiej, zaś ich nadawcy – zaliczani *a priori* do osób utrzymywanych z budżetu Kremla. Tymczasem materiały powielane w mediach społecznościowych wskazują na to, iż mamy niewątpliwie do czynienia z odrodzeniem nazistowskich sentymentów na Ukrainie.

W świecie nazistowskich fantazji

Wytatuowani w swastyki, symbole narodowe III Rzeszy i portrety

głównych ideologów ukraińskiego szowinizmu żołnierze, pozdrawiający widza rzymskim salutem są już właściwie normą. Przywykliśmy też do regularnego prezentowania banderowskiej czerwono-czarnej flagi w niemal dowolnych sytuacjach. Dość wspomnieć w tym miejscu wizytę w szpitalu lwowskim polskiego ministra zdrowia, który pozował wraz z personelem szpitala na tle flagi ukraińskich zbrodniarzy. Należy w tym miejscu jednocześnie okazać wdzięczność mediom naszego wschodniego sąsiada, które właściwie dokonały swoistego zadenuncjowania naszego jednego z najważniejszych funkcjonariuszy państwowych. Z pewnością nie uczyniłyby tego media polskie, aby za wszelką cenę ukryć zjawisko, które aktualnie zachodzi w umysłach samych Ukraińców, karmionych legendami, klechdami i – parafrazując **Josepha Goebbelsa** – żyjących w świecie fantazji czy magicznych wyobrażeń.

Owe wyobrażenia są syntezą marzeń o byciu starożytnym narodem, liczącym sobie kilka tysięcy lat, posiadającym świadomość swej odrębności od czasów antycznych oraz poczucia bycia wybranym i wyjątkowym, bowiem połączonym sojuszem z hitlerowskimi „Aryjczykami” przeciwko moskalskim barbarzyńcom, dzikim Azjatom, wiecznie głodnym ukraińskiej krwi.

Symbolika przemocy

Okazuje się, iż czas wojny jest doskonałym momentem do budowania nienawiści wobec Rosjan i wszystkiego, co rosyjskie. Poczucie odrazy kwitnie w umysłach zarówno młodych Ukraińców, przebywających daleko od miejsc objętych działaniami militarnymi, jak również dorosłych, w tym migrantów w Europie. Pobicia rosyjskojęzycznych dzieci przez ich rówieśników przy wręcz otwartym przyzwoleniu nauczycieli i wychowawców są obecnie stałym obrazkiem w ukraińskich szkołach. Niedawno nastoletnia Ukrainka została pobita przez swoje koleżanki za mówienie po rosyjsku tak dotkliwie, że wylądowała w szpitalu w stanie poważnym, w śpiączce, zaś całe zajście zostało utrwalone na nagraniu krążącym po mediach społecznościowych.

Widok zaprawdę łamiący serce, gdyż naładowane ideologicznie przez własnych rodziców i media dzieci, przeciągają konflikt na edukacyjno-socjalizującą sferę życia człowieka.

Poza przemocą wśród dzieci i młodzieży należy pochylić się nad symboliką pojawiającą się na samym froncie wojennym. O ile jednostki rosyjskie stosują oznaczenia, nie mające jednoznacznych konotacji z przeszłością (choć pojawiają się w rzeczy samej motywy radzieckie), o tyle Ukraińcy nie unikają umieszczania emblematyki nazistowskiej, do tego najczęściej w czystej postaci. Otóż oprócz zdobień ciała, można dostrzec wysoce zastanawiające ozdabianie broni i pojazdów bojowych, używanych przez armię ukraińską. I tak zamiast flag ukraińskich, herbu trójzęba i barw niebiesko-żółtych, możemy obserwować czołgi, na których namalowane są charakterystyczne, równoramienne krzyże. Gdyby nagrania z frontu ukraińskiego uczynić czarno-białymi, z pewnością stałoby się jasnym, iż nie mamy w tym miejscu do czynienia z oznakowaniem pojazdów sanitarnych, tj. służących jako pomoc medyczna, lecz z hitlerowską symboliką. Czołgi III Rzeszy posiadały na swych pancerzach charakterystyczne krzyże zarówno czarno-białe jak i w całości w kolorze białym, wręcz identyczne do tych występujących na ukraińskich pojazdach bojowych.

Prezydent – Żyd jako kontrargument

Osobom, które przestrzegają przed symptomami resentymentów nazistowskich na Ukrainie zarzuca się, iż ich poglądy to swoisty dysonans poznawczy, gdyż w nazistowskiej Ukrainie nie mógłby rządzić żydowski prezydent, jak ma to miejsce aktualnie. Nie odczuwają oni jednakże dysonansu, gdy ów prezydent mówi o tym, iż Ukraińcy wraz z innymi sojusznikami walczyli bohatersko przeciwko Niemcom podczas II wojny światowej. Chyba, że prezydent **Wołodymyr Zełeński** ma na myśli Ukraińców walczących w szeregach znienawidzonej Armii Czerwonej? Czy na pewno owych nazistów Rosjanie sobie wymyślili? Oczywistym jest, iż denazyfikacja Ukrainy jest

jedynie jednym z elementów uzasadniających wkroczenie wojsk rosyjskich na Ukrainę, lecz zaprawdę należy powiedzieć sobie wprost, iż ideologia ta jest tam nadal żywa i ma charakter neobanderowski przede wszystkim.

Ponadto przekładanie wszystkich elementów ideologii nazistowskiej na aktualną ukraińską rzeczywistość ideologiczną jest błędem, a argument z żydowskim prezydentem jest wyjątkowo słaby. Należy bowiem zdać sobie sprawę z faktu, iż obecny nazizm trzeba rozważać w kategoriach neonazizmu, czyli nawiązującego do hitleryzmu. lecz z wieloma nowościami, które służyć mają mobilizowaniu Ukraińców przeciwko Rosjanom przede wszystkim. W wielu nurtach neobanderowskich obecny jest żywioł antysemicki (wraz z oskarżeniem przez ich zwolenników obecnego prezydenta Ukrainy, iż jego decyzje mają w istocie wyniszczający biologicznie wpływ na naród ukraiński), lecz antyżydowskość najzwyczajniej przestała być użyteczna ze względu na fakt, iż na obszarze współczesnej Ukrainy mniejszość żydowska stanowi niewielki odsetek ludności (ok. 300 tys. osób). Zatem „walka z Żydami" byłaby wręcz bezprzedmiotowa. Nie zmienia to jednakże faktu, iż mamy do czynienia z najnormalniejszym antydemokratycznym (czy w demokratycznym kraju mogłoby dojść do zakazu posługiwania się jakimkolwiek językiem, tak jak ma to miejsce już urzędowo na Ukrainie?), tolerującym, a nawet wspierającym odradzanie się szowinizmu ukraińskiego w klimacie neonazistowskim państwem.

Mit Azowa

Ponadto media usprawiedliwiające nawet fakt istnienia tendencji neonazistowskich i neobanderowskich na Ukrainie, podkreślają, iż pułk Azow, który uchodzi za najbardziej kontrowersyjny w tej materii jest jednym z mniejszych jednostek walczących u boku armii ukraińskiej. Należy jednakże zauważyć, iż Azow choć może niewielki jest jednocześnie najlepiej rozpoznawalną i najpopularniejszą jednostką w świadomości ukraińskiej. Sama, mając kontakt z Ukraińcami,

słyszałam i widziałam z jakim entuzjazmem odnoszą się oni do wszelkich nazw czy nazwisk, które choć w niewielkim stopniu nawiązują do wspomnianego pułku. Liczy się bowiem siła oddziaływania a nie wielkość. Tej pułkowi Azow nie można zdecydowanie odmówić.

Odniesienie do powyższych kwestii powinno być podłożem do omawiania kwestii tego, jaka przyszłość ideologiczna czeka nas w naszym własnym kraju – w Polsce. Czy dojdzie ostatecznie do przyzwolenia i tolerowania motywów banderowskich, skoro nasi ministrowie nie mają nic przeciwko pozowaniu na tle symboliki, którą posługiwali się siepacze naszych rodaków na Wołyniu? Czy w dalszym ciągu pojawianie się tego typu ideologii, która swobodnie może kwitnąć w Polsce, będzie akceptowane przez polskie służby aż do momentu, w którym każdy z nas będzie przechodził obok flagi czerwono-czarnej czy swastyki obojętnie? A może uczynimy to wszystko wręcz endemicznie występującymi w naszym kraju zjawiskami?

Sylwia Gorlicka

Polska w ruinie



W2015 roku zwycięskiemu marszowi partii Jarosława Kaczyńskiego towarzyszyło hasło „Polska w ruinie”. Rzekoma ruina miała być efektem rządów koalicji PO-PSL. Tymczasem wyborczy slogan nieoczekiwanie stał się samosprawdzającą przepowiednią. Po

siedmiu latach rządów PiS Polska stoi na skraju gospodarczej katastrofy.

Jeszcze na początku VIII kadencji sejmu nic nie zapowiadało zbliżającej się katastrofy. W pamięci wyborców wciąż wyraźne było wspomnienie rynkowych, dynamizujących gospodarkę reform wprowadzonych przez **prof. Zytę Gilowską,** minister finansów oraz wicepremiera w poprzednim rządzie PiS. Niestety szybko nastąpił zimny prysznic. Wprowadzone pod pozorem działań pronatalistycznych rozwiązania socjalne stały się stałym i poważnym obciążeniem dla państwowego budżetu. Sztandarowy program „Rodzina 500+" ruszył 1 kwietnia 2016 r. Obecnie korzysta z niego 6,6 mln dzieci, a roczny koszt tego wsparcia to 41 mld zł. Z danych MRiPS wynika, że od momentu uruchomienia na program wydatkowano ponad 156 mld zł. Łączne koszty obsługi świadczenia od 2016 r. do czerwca 2021 r. wyniosły przeszło 1,8 mld zł.

O ile wprowadzając program 500+ PiS zadbał o pozory, uzasadniając de facto socjalny program troską o demografię, to już wprowadzenie 13, a później 14 emerytury było cyniczną formą rozdawnictwa wyborczej kiełbasy własnemu elektoratowi**. Łączny roczny koszt 13 i 14 emerytur wynosi ok. 22 mld złotych i sukcesywnie wzrasta.**

Eksperci i komentatorzy (w tym piszący te słowa) od początku przestrzegali, że niekontrolowane wpuszczenie tak wielkich środków na rynek doprowadzi do pojawienia się inflacji. Tak stało się w istocie. Wskaźnik wzrostu cen towarów i usług zaczął się powoli lecz systematycznie piąć w górę. Z wyniku oscylującego w okolicach zera (- 0,8%) w roku 2015 doszedł do niemal 3% w roku 2019. Choć dynamika wzrostu budziła niepokój, sama wartość wskaźnika była jeszcze relatywnie niska. Na tyle nieduża, by nie dławić rozwoju, zaś na tyle istotna by stanowić istotny przychód dla budżetu państwa. Jednak gdy już wydawało się, że gospodarka poradzi sobie z pomysłami polityków nadeszła katastrofa.

Politycy lubią uproszczenia. Stąd często z ich ust słyszymy stwierdzenie: Covid-19 zmienił wszystko. W istocie rzeczy jest to nieprawda. To nie Covid, lecz nieodpowiedzialne decyzje polityków sprowadziły do nas kryzys. Przypomnijmy dla uporządkowania. Najpierw powodowani paniką, nie posiadając żadnych rzetelnych podstaw naukowych, politycy rządzącego w Polsce Prawa i Sprawiedliwości wprowadzili ścisły lockdown. Doprowadziło to dużą część małych i średnich przedsiębiorstw na skraj bankructwa.

Wtedy, pozornie dla zniwelowania negatywnych skutków własnych błędów, w istocie zaś dla kupienia kilku procent głosów dla Andrzeja Dudy w odbywających się w tym czasie wyborach prezydenckich, rząd przeprowadził głęboką finansową ingerencję w gospodarkę. Skutki „tarcz anty-covidowych" były jednak znacznie bardziej szkodliwe niż samego lockdownu. Chaotyczne, niepodparte żadnymi rzetelnymi opracowaniami działania ekipy **Mateusza Morawieckiego** kosztowały podatników według różnych źródeł od 145, nawet do 230 mld złotych. Nie przyniosły żadnej korzyści, zamiast tego stały się solidnym fundamentem pod obecną kilkunastoprocentową inflację.

Prawdziwym gwoździem do trumny naszej gospodarki stała się jednak wojna rosyjsko-ukraińska. I znowu, tak jak w przypadku Covid, istotą problemu stało się nie samo zdarzenie, lecz reakcja polskiego rządu. Wyjście przed unijny szereg w zakresie embarga na rosyjskie surowce energetyczne doprowadziło do gwałtownego wzrostu cen paliw i nośników energii. W czasie gdy nasi Unijni sąsiedzi i partnerzy gwałtownie uzupełniali swoje zapasy gazu i węgla, Polska, z typową dla nas dezynwolturą nie podjęła żadnych czynności. Filozofia „jakoś to będzie" doprowadziła niemal natychmiast do braków w zaopatrzeniu choćby w węgiel kamienny, którego ceny detaliczne wzrosły rok do roku o kilkaset procent.

Jakby tego było mało, polski rząd z dnia na dzień postanowił okazać nadzwyczajną hojność naszym ukraińskim sąsiadom. Morawiecki, Dworczyk i spółka, całkowicie ignorując realia

polskiego budżetu rozdali w ciągu niespełna pół roku ponadplanowe **30 miliardów złotych na szeroko rozumianą pomoc wojskową i logistyczną dla Ukrainy** (w tym 7 miliardów w sprzęcie). Kolejne 24 mld złotych wydaliśmy na przyjęcie migrantów i uchodźców z Ukrainy. Te gigantyczne wydatki zostały przerzucone rzecz jasna na coraz bardziej zubożałe społeczeństwo. Na inflację i drożyznę wywołaną własnymi decyzjami rząd Morawieckiego zareagował w jedyny znany sobie sposób. Wpuścił w rynek kolejne, potężne ilości pustego pieniądza. „Tarcze antyinflacyjne", dodatek węglowy i inne tego rodzaju działania rządu zapobiegają wzrostowi cen w ten sam sposób co dolewanie benzyny do ognia zapobiega pożarowi. Tak oto doszliśmy do sytuacji gdzie inflacja osiągnęła nieznany od dziesięcioleci poziom 16%. A to zapewne jeszcze nie koniec..

Szalejąca inflacja i drożyzna zaczynają paraliżować całe sektory gospodarki. Niedawno produkcję nawozów azotowych wstrzymała m.in. Grupa Azoty. Jako, że Azoty są jednocześnie jednym z głównych producentów CO2 pojawiło się ryzyko wstrzymania prac przez browary i zakłady mięsne. Bowiem gospodarka nie jest morzem pełnym samotnych wysp, lecz systemem naczyń połączonych. Gdy wyłączymy jedno z nich inne przestają funkcjonować w oczekiwany przez nas sposób.

Kryzys „azotowy" udało się chwilowo zażegnać dzięki politycznej interwencji. O ile jednak rząd ma skuteczne instrumenty nacisku na spółki kontrolowane przez skarb państwa o tyle nikt nie zmusi prywatnych przedsiębiorców by prowadzili nieopłacalną dla nich działalność. Przykładem jest firma Cerrad ze Starachowic, jeden z czołowych producentów płytek ceramicznych w Europie. Cerrad zmuszony jest zamknąć kilka linii produkcyjnych i zwolnić 25% załogi. Zwolnienia grupowe obejmą 350 z 1400 osób. Jak informuje członek zarządu Cerrad Filip Cegłowski, powodem ograniczenia produkcji są wysokie ceny gazu. Opłaty wzrosły o ok. 1500%. Co gorsze, to wcale nie musi być koniec podwyżek. Firm takich jak Cerrad już dzisiaj

są dziesiątki. Lada chwila będą ich setki.

Siedem lat samodzielnych rządów PiS wystarczyło by zaprzepaścić dorobek dziesięcioleci. Po trudnym okresie transformacji naznaczonym balcerowiczowszczyzną i złodziejską prywatyzacją Polacy dziki swej pracowitości i przemyślności zaczęli wychodzić na prostą. Budować rodzimą przedsiębiorczość. Wypierać z rynku obcy, często spekulacyjny kapitał. To wszystko udało się zmarnować zaledwie przez kilka lat rządów „dobrej zmiany".

Realizowanie interesu narodowego to nie tylko wymachiwanie krzyżem i biało-czerwoną flagą. To nie tylko nachalna bogoojczyźniana ornamentyka. To przede wszystkim wytworzenie ram prawnych, ustrojowych i gospodarczych umożliwiających narodowi jak największe poszerzanie sił własnych. Oceniając przez pryzmat tego oczywistego faktu siedmioletnie rządy PiS jestem zmuszony wystawić im ocenę niedostateczną.

Przemysław Piasta

Święty Mikołaj demoluje gospodarkę



Otóż mamy także takich polskich twórców inflacji. To **ci, którzy proponują, aby natychmiast podnieść wynagrodzenia np. o 20 proc. To są twórcy inflacji. Oni proponują taki scenariusz,**

z jakim mieliśmy do czynienia w Turcji. Niektórzy mają krótką pamięć, ale przypomnijmy sobie. Rok, dwa lata temu Turcja to inflacja na poziomie 12-15 proc. Brzmi znajomo? Dziś w Turcji inflację mamy na poziomie 60 proc. A więc ci, którzy proponują takie recepty, chcą doprowadzić do hiperinflacji” – powiedział pod koniec kwietnia bieżącego roku premier **Mateusz Morawiecki.**

Co ciekawe w tym przypadku Morawiecki nie kłamał. Trafnie zdiagnozował konsekwencje skokowego podnoszenia wynagrodzeń w oderwaniu od wskaźników ekonomicznych przedsiębiorstw. Po czym odczekał kilka miesięcy i rzeczony pomysł wcielił w życie. **„Zdecydowaliśmy się na mocniejsze podniesienie płacy minimalnej – do poziomu 3.490 zł od 1 stycznia i 3.600 zł od pierwszego lipca” – powiedział na poniedziałkowej konferencji prasowej premier. Decyzja rządu będzie oznaczać wzrost płacy minimalnej o 15,9% od stycznia i o 19,6% od lipca w ujęciu rok do roku.**

Skoro Morawicki wie (a jak sam przyznał, wie), że podjęte przez niego kroki skończą się całkowitą utratą kontroli nad inflacją, warto się zastanowić po co podejmuje takie a nie inne decyzje. Mamy tutaj trzy możliwości, począwszy od racjonalnej a skończywszy na głęboko spiskowej.

Odpowiedź racjonalna każe szukać korzyści ze zjawiska inflacji. Wysoka inflacja jest niekorzystna dla obywateli i przedsiębiorców, „opłaca się” jednak budżetowi. To dlatego, że powoduje wzrost bazy podatkowej. Kiedy rosną ceny i dochody, rosną też wpływy z podatków, w szczególności VAT i dochodowego. To elementarz ekonomii. Jednak w tym wszystkim tkwi jedno wielkie „ale”. Korzystna dla budżetu jest jedynie inflacja w okolicach 2-5%. Powyżej tego progu doprowadza ona do rozchwiania równowagi gospodarki. Inflacja w okolicach 20%, czyli taka, jaką mamy dziś w Polsce, jest już skrajnie niebezpieczna. Natomiast hiperinflacja jest, zarówno dla całości gospodarki jak i dla budżetu panieństwa, skrajnie szkodliwa i wyniszczające. To również ekonomiczne abecadło. Zatem szukanie racjonalnych powodów decyzji premiera jest

mylnym tropem.

Opcja druga – umiarkowanie spiskowa, lecz w mojej opinii najbardziej prawdopodobna: pan Morawiecki bawi się w Świętego Mikołaja. Miło i przyjemnie jest robić ludziom prezenty. Jeszcze milej gdy robi się je na cudzy koszt. Najmilej jednak gdy na owym rozdawnictwie się jeszcze zyska. Rząd zyskuje tutaj podwójnie. Po pierwsze generuje dodatkowe, choć de facto pozorne, wpływy do budżetu. Po drugie i ważniejsze: kupuje na cudzy koszt całą masę wyborczej kiełbasy, którą w roku wyborczym rozda elektoratowi. Nie byłby to pierwszy taki przypadek. Trzynaste i czternaste emerytury, dodatek węglowy i różnorakie tarcze są przecież także elementem kupowania sobie elektoratu za publiczne pieniądze. Gigantycznym kosztem i z poważnym obciążeniem dla finansów publicznych.

Jest jednak i wariant trzeci, spiskowy. Mało prawdopodobny, lecz bynajmniej nie wykluczony. Zakłada on, że Morawiecki i spółka szkodzą nam celowo, z rozmysłem. Nawet małpa postawiona na czele rządu działając losowo podjęłaby w szerszej perspektywie 50% poprawnych decyzji. W przypadku rządu Morawieckiego przytłaczająca ilość decyzji ma charakter błędny. To zbyt wiele by zrzucić to na zwykłą nieudolność lub przypadek.

Tak czy inaczej katastrofa ekonomiczna puka już do naszych drzwi. Tymczasem polski premier właśnie powitał ją radosnym „Zapraszamy, rozgość się”.

Przemysław Piasta

Nadchodzi lockdown energetyczny ?



Po dwóch latach wszyscy zapomnieli już o horrorach zwanych kowid i lockdown. Tzw. pandemia koronawirusa –dzisiaj już to wiemy- była perfekcyjnie zbudowanym mitem służącym do wytworzenia sytuacji nadzwyczajnej. Po co była ta sytuacja nadzwyczajna?

Aby kontrolujące rządy tzw. państw demokratycznych koterie mogły mieć pretekst do nałożenia na rzekomo wolnych obywateli drakońskich ograniczeń wolnościowych. Obywatelom „demokratycznego" Zachodu zabroniono swobodnie przemieszczać się i pracować. W tym czasie w państwach okrzykniętych za autorytarne bez jakichkolwiek przeszkód tętniło życie przemysłowe i osobiste. Kiedy na Białorusi w Indiach ludzie bez przeszkód spotykali się i komunikowali, w oświeconej Europie wprowadzono godziny policyjne i kary a przeciwko przedsiębiorcom wprowadzono tzw. lockdown, czyli zakaz prowadzenia swoich biznesów a nawet areszt domowy. O absurdalności przyczyn wprowadzenia tych tzw. „obostrzeń" świadczy np. fakt, że całkowite zamkniecie gospodarki w Polsce nastąpiło, kiedy odnotowano zaledwie 20 przypadków tzw. kowida, a likwidację zakazów ogłoszono, kiedy liczba rejestrowanych przypadków przekraczała parę tysięcy.

Z perspektywy tych lat widzimy wyraźnie, że cała ta operacja była zaplanowana i nie odnosiła się do rzeczywiście zaszłych zdarzeń. Poprzez środki masowej dezinformacji obywatelom sprzedano nieprawdę, prymitywny mit, w który większość po

prostu uwierzyła. Niestety – wiemy to już teraz na pewno – wcale nie była to wcale troska o zdrowie, ale brutalna walka międzynarodowych korporacji o pieniądze. Wydaje się, że mieliśmy do czynienia z próbą wrogiego przejęcia wielu branż naraz . Inicjatorami były niewątpliwe wielkie korporacje międzynarodowe- chemiczne, hotelarskie, restauracyjne etc., które próbowały pozbyć się tysięcy swoich konkurentów (w Europie) poprzez siłową eliminacje ich z rynku. W warunkach równowagi na rynku te małe rodzinne firmy będące właścicielami hoteli, restauracji, klubów były groźnymi przeciwnikami wielkich biznesowych molochów. W sytuacji sztucznie sprowokowanej „sytuacji nadzwyczajnej" można było je wyciąć z rynku pod pretekstem walki z pandemią. Robiły to bezpośrednio – ponoć demokratyczne i przedstawicielskie władze – a tak naprawdę hodowane od dziesięcioleci kompradorskie "elity", które są zupełnie niezależne, ale od swoich wyborców, a w pełni podporządkowane mocodawcom – zwykle zza Oceanu.

Uderzenie w same źródła tworzenia zachodniej prosperity było wyjątkowo bezczelne i aroganckie. W normalnych krajach zakończyłoby się porażką atakujących band i ich natychmiastową anihilacją przez służby specjalne. Niestety zachodnie społeczeństwa odmóżdżone i grillowane przez lata kolejnym falami polit-poprawnych, fałszywych narracji, pozbawione własnych mediów i służb akceptowały w większości to brutalne szlachtowanie swojego małego i średniego biznesu. Było to możliwe również, dlatego, że nowoczesne państwa wytworzyły aparat przymusu kierujący się nie dobrem ogółu ale ślepym, partyjnym podporzadkowaniem na wzór zachodnich państw autorytarnych XIX wieku. Aparat państwowy – wierny politycznym nadzorcom z zewnątrz traktował rządzonych, jako przedmiot do wykorzystania i miejsce do żerowania. W akcji – niewątpliwie sabotażowej – główną rolę odegrały media- zarówno te tradycyjne , jak i internetowe, które nie informowały, ale głównie pilnowały aby większość społeczeństwa nie uzyskała prawdziwego oglądu rzeczywistości.

Lockdown poczynił straszliwe szkody w przedsiębiorczości na całym obszarze atlantyckim. Tysiące małych rodzinnych biznesów zbankrutowało i upadło. W ich miejsce natychmiast wchodziły olbrzymie korporacje przemysłowe, które korzystając z nowoczesnych technologii sieciowych próbowały narzucić konsumentom nowe formaty biznesu. Sama przymusowa izolacja spowodowała, że miliony odwróciły się od tradycyjnych sklepów i zaczęły wybierać zakupy przez Internet. Nastąpił wysyp różnych aplikacji na smartfony – próbujących wejść pomiędzy tradycyjnego podawcę a konsumenta. Doszło do fali zmian właścicielskich w tych obszarach rynku, które nie były jeszcze do tej pory skolonizowane przez korporacje.

Ten wielki agresywny atak trustów na tradycyjny rynek nie zakończył się tak jak myśleli jego inicjatorzy. Większość małych biznesów przeczekała najgorsze. Wielu zaczęło prowadzić różne alternatywne formy zarobkowania i wdrożyło nowe pomysły. Wiele mediów, które najbardziej zaangażowały się w propagowanie mitu „kowidyjskiego" zostało ośmieszonych, większość zaś straciła zaufanie odbiorców. Ludzie zaczęli się komunikować bez ich pośrednictwa. Niestety, okres tzw. pandemii ujawnił jej inicjatorom wielką podatność większości społeczeństw na manipulacje medialne i faktyczną bezbronność szarego obywatela w starciu z aparatem przymusu państwa. **Tą drogą poszli beneficjenci tzw. pandemii i rzucili na swoich mniejszych konkurentów kolejna plagę – tym razem energetyczną.** Pomysł wykorzystania kosztów energii iw rozgrywce pomiędzy korporacjami „morskimi" a konkurentami z Europy – nie jest nowy i liczy sobie już ponad 20 lat. To wówczas na przełomie stuleci, po wprowadzeniu euro – USA spostrzegło, że jest on wielkim zagrożeniem dla dolara. Bardzo wielu graczy na rynku zaczęło wówczas postrzegać EUR, jako bardziej stabilna walutę – gwarantowaną przez najmocniejsze państwa zachodu. Euro niewątpliwie przyczyniło się do rozwoju rynku europejskiej wymiany gospodarczej i stopniowej eliminacji zeń dolara. Wzmocniona Europa zaczęła być coraz poważniejszym konkurentem dla USA w handlu zamorskim z Azją. **Nie bez przyczyny to**

wówczas właśnie wymyślono, aby zaaplikować Europie przymusową kurację klimatyczną. Nie bójmy się tego powiedzieć – to był sabotaż. Jego najważniejszym zadaniem było wmówienie Europejczykom konieczności redukcji „szkodliwego" dwutlenku węgla, który tworzy tzw., efekt cieplarniany. Aby „uratować planetę" należy zrobić wszystko, aby pozbyć się śmiertelnie groźnego tzw. śladu węglowego i zapobiec wytwarzaniu dwutlenku węgla. Ten fałszywy mit masowo nagłośniono i szybko zrobiono z niego jedna z fundamentalnych zasad narzucanych establishmentowi europejskiemu i edukacji młodych pokoleń. Jednocześnie wydaje się, że USA włożyła wiele wysiłku, aby poprzez kontrolę nad europejskimi elitami zmienić Wspólnotę Europejską w ściśle scentralizowanie narzędzie globalnych elit, jakim jest Unia Europejska, tak, aby móc jeszcze lepiej kontrolować procesy gospodarcze w Europie.

Poprzez skuteczne narzucenie idiotycznego mitu klimatycznego lokalnym elitom – zmuszono Europejczyków odgórnie – poprzez instrumenty prawne do niszczenia i zamykania swoich kopalni, elektrowni węglowych, hut, stalowni, jako szkodliwych dla środowiska. Początkowo mało korzystające z węgla takie państwa, jak Francja, Holandia, czy tez południe Europy w projekcie klimatycznym widziało szanse na pozbycie się konkurentów z Europy Wschodniej. Dlatego też poparło wprowadzony system handlu emisjami z roku 2008. System ETS – to zupełna aberracja logiczna, ale natomiast doskonałe narzędzie dla polityków, które pozwala rządzącym nakładać defacto podatek (nierynkowy) na elektrownie i cały przemysł. Dzięki pieniądzom z tej daniny mogą przekupywać swoich wyborców. Wysokość podatku, od CO2 regulują tak naprawdę poprzez giełdy zewnętrzni spekulanci- potężne zagraniczne korporacje finansowe. W ten sposób lokalne rządy w Europie i części państw rozwiniętych oddały pełna kontrolę nad swoją gospodarką zewnętrznym regulatorom. W zamień za tą spijają śmietankę z pieniędzy pozyskanych ze sprzedaży uprawnień do emisji CO2. Taki system istniał kiedyś w USA, ale dawno splajtował na skutek fali spekulacji i zwykłych malwersacji. W

Europie pominą, że obecnie ten fałszywy podatek stanowi już ponad 23 % kosztów energii w dalszym ciągu jest promowany przez podległe USA elity polityczne i jest podstawowa przyczyną deindustrializacji naszego kontynentu. Trzeba zaznaczyć, że Europa ratowała swój bilans energetyczny i dywersyfikowała fanaberie klimatyczne głównie poprzez dostęp do tanich surowców energetycznych z Rosji. Bez tych surowców konkurencyjność gospodarcza Europy w skali globalnej spada praktycznie do zera.

Ale i tą ostatnią kotwicę europejskiej gospodarki elity anglosaskie postanowiły zniszczyć. Wydaje się, że trwający obecnie na Ukrainie konflikt jest tylko pretekstem, aby zmusić kraje zachodu Europy do trwałego odcięcia się od surowców rosyjskich a dalszej perspektywie także handlu kontynentalnego z Chinami. Oprócz nacisków „solidarnościowych" USA udało się zbudować blok tzw. rozbijaczy jedności europejskiej tzw. „kordon sanitarny" – Międzymorze – Polskę, Ukrainę Rumunie, Chorwację i Słowację, które fizyczne mają pilnować żeby żaden rosyjski gaz do Europy Zachodniej się nie przedostał. Sankcje mają być w pełni pod kontrolą Wielkiego Brata. Ograniczenie gry rynkowej i wcześniejsze narzucenie UE systemu sprzedaży energii na giełdach (też rączki USA) spowodowało, że ceny zaczęły być ustalane przez wielkich spekulantów i widzimy w obecnej chwili, że na przykład w Europie ceny energii są 7-10 krotnie wyższe niż w USA czy też w Rosji. W warunkach otwartej gospodarki globalnej powoduje to absolutna niekonkurencyjność prawie wszystkich europejskich branż poczynając od stali i cementu, a skończywszy na nawozach. Już w tej chwili widźmy falę upadłości w przemyśle.

Ale nawet takie ewidentne, dostrzegalne gołym okiem zagrożenia egzystencjalne nie powodują sprzeciwu elit i zmiany powziętej polityki. Zamiast zrobić wszystko aby znieść natychmiast sankcje i odbudować normalną grę rynkową w Europie i tym samym ocalić miejsca pracy, rządy państw europejskich prowadzą politykę odwrotną i zmuszają swoich obywateli od akceptacji

daleko idących ograniczeń w dostawach prądu i przygotowują społeczeństwo do wyłączeń energii w zimie. Czy aby na pewno nie mamy tutaj do czynienia z powtórką kowidowych lockdownów, tylko teraz robionych w sposób skuteczny- poprzez odcięcie energii, na które większości nie będzie nas stać? Rządzą przecież ci sami ludzie, którzy zaprowadzili już raz gospodarkę na skraj przepaści. Nie tak dawno **Mateusz Morawiecki** zamykał z Niedzielskim pod fałszywymi pretekstami całą Polskę, we Francji Macron na wiele lat zawiesił swobody obywatelskie i rządził autorytarnie także pod fałszywym pretekstem walki z zarazą. Większość europejskich rządów srodze egzekwowała takie paranoje jak, np. paszport covidowy, które obrażały zdrowy rozsądek. Powstaje, zatem uzasadnione podejrzenie czy nie mamy obecnie do czynienia z koleją recydywą skompromitowanego kowidianizmu? Kolejnej odsłony sojuszu europejskich elit z atlantyckimi korporacjami przeciwko europejskiemu biznesowi? Ale tym razem, jak się wydaje, nie będą nam na siłę zakładać maseczek, ale w świetle prawa rabować z ostatnich oszczędności pod groźbą wyłączenia energii. Czy Europejczycy zdobędą się jeszcze na odwagę, aby odzyskać zdolność do podjęcia racjonalnych decyzji i nie pozwolić odebrać sobie wolności?

Piotr Panasiuk